ROBERT SHECKLEY
BILET NA TRANAI

SHOUT
SHARE IT

- Robert Sheckley

Robert Sheckley
Bunt łodzi ratunkowej

— No, powiedzcie prawdę. Czy widzieliście kiedy wspanialsze silniki? — spytał Joe, międzygwiezdny handlarz starzyzną. I spójrzcie tylko na te serwa!

— Hm… — mruknął ostrożnie Gregor.

— I na kadłub — dodał miękko Joe. Poklepał czule lśniącą burtę łodzi. Co za szczęście, zdawał się mówić każdym z tych klepnięć, że ten pływający klejnot trafił się tu właśnie wtedy, gdy „As" potrzebuje łodzi ratunkowej. — Prezentuje się rzeczywiście nieźle — przyznał Joe z wystudiowaną miną człowieka, który właśnie się zakochał i ze wszystkich sił próbuje tego nie okazać. — Co o tym myślisz, Dick?

Richard Gregor nie odpowiedział. Łódź mu się podobała i odniósł wrażenie, że idealnie nadawała się do prac oceanograficznych na Tridencie. Ale do towaru Joego należało podchodzić z rezerwą.

— Dziś już takich po prostu nie budują — westchnął Joe. — Spójrzcie na blok napędowy. Nie przedziurawi go nawet młotem spadowym. Zobaczcie, jaka wydajność układu chłodzenia. Przyjrzyjcie się…

— Ona naprawdę wygląda nieźle… — powiedział powoli Gregor. Międzyplanetarna Służba Asenizacyjna „As" miewała już do czynienia z Joem i nauczyło ją to ostrożności. Wcale nie dlatego, że Joe był nieuczciwy; skądże znowu. Rupiecie gromadzone przez niego ze wszystkich zakątków zamieszkanego wszechświata działały. Ale te starożytne maszyny miewały często swoje własne poglądy na to, jak powinna być wykonana robota, a zmuszane do zmiany utartych przyzwyczajeń, bywały zrzędliwe i skore do popadania w irytację.

— …ale dla mnie nie musi ona być ani piękna, ani wytrzymała, czy nawet wygodna — ciągnął prowokująco Gregor. — Chcę mieć za to absolutną pewność, że jest bezpieczna.

Joe skinął głową.

— To oczywiście sprawa podstawowa — powiedział. Wejdźmy do środka.

Przez wąskie drzwi przesunęli się do kabiny. Joe podszedł do tablicy kontrolnej i uśmiechając się tajemniczo, nacisnął jeden z klawiszy.

W tej samej chwili Gregor usłyszał jakiś głos, który zdawał się rozlegać we wnętrzu jego głowy:

— Jestem łódź ratunkowa 342-A. Moim podstawowym zadaniem…

— Telepatia? — przerwał Gregor.

— Bezpośredni przekaz zapisu — odparł Joe, uśmiechając się ponownie, tym razem z widoczną dumą. — W ten sposób nie ma żadnych barier językowych. Mówiłem wam, że dziś się już takich nie buduje.

— Jestem łódź ratunkowa 342-A — podjęła swój przekaz maszyna. — Moim podstawowym zadaniem jest ochrona przed wszelakim niebezpieczeństwem i zachowanie w pełnym zdrowiu tych, którzy znajdują się na moim pokładzie. W tej chwili jestem uruchomiona tylko częściowo.

— Czy może być coś bezpieczniejszego?! — zawołał Joe. — To nie jest żadna nieczuła bryła metalu. Ta łódź będzie się wami opiekowała. Ona o was zadba!

Słowa łodzi wywarły na Gregorze silne wrażenie, choć sama myśl o korzystaniu z łodzi wyposażonej w zdolność odczuwania napełniła go czymś w rodzaju obrzydzenia. Ale też takie paternalistyczne gadgety zawsze go irytowały.

Arnold nie miał żadnych podobnych odczuć.

— Weźmiemy ją! — wykrzyknął.

— I nie będziecie tego żałować — pochwalił tę decyzję Joe, a w jego głosie zadźwięczała ta sama szczera i otwarta nuta, która wybitnie dopomogła mu w zbiciu wielu z jego milionów.

I Gregor miał nadzieję, że nie będą żałować. Następnego dnia ŁR-342-A została załadowana na pokład ich statku kosmicznego, który niezwłocznie odpalił w kierunku Tridentu.

Planeta Trident, położona w samym środku Doliny Wschodniej Gwiazdy, została ostatnio zakupiona przez spekulanta nieruchomości, który uznał ją za niemal idealną do kolonizacji. Wielkością przypominała Marsa, lecz panujący na niej klimat o wiele bardziej sprzyjał prowadzeniu akcji zasiedlania. Nie posiadała żadnej tubylczej ludności, którą trzeba byłoby wypierać, żadnych trujących roślin, żadnych bakterii chorobotwórczych. I w przeciwieństwie do wielu światów, na Tridencie nie było drapieżnych zwierząt. Prawdę mówiąc, nie było na nim w ogóle żadnych zwierząt. Poza jedną małą wyspą i czapą polarną całą powierzchnię planety pokrywał jeden wielki ocean.

Niemniej brak lądów był w znacznej mierze czysto pozorny; wiele mórz Tridentu można byłoby przejść w bród. Lądy po prostu nie wypiętrzały się jak trzeba.

Eksperci „As” uzyskali zlecenie na skorygowanie tej drobnej usterki.

Natychmiast po wylądowaniu na jedynej wyspie Tridentu przystąpiono do spuszczenia łodzi na wodę. Pozostałą część dnia zajęło sprawdzenie i przenoszenie na jej pokład specjalnej aparatury pomiarowo-badawczej. Wczesnym rankiem następnego dnia Gregor

przygotował kanapki i napełnił wodą manierkę. Wszystko było gotowe do rozpoczęcia prac.

Odczepiwszy liny cumownicze, Gregor zszedł do Arnolda, do kabiny łodzi. Z przesadnym namaszczeniem Arnold wcisnął pierwszy guzik.

— Jestem łódź ratunkowa 342-A — nadała telepatycznie łódź. — Moim podstawowym zadaniem jest ochrona przed wszelkim niebezpieczeństwem i zachowanie w pełnym zdrowiu tych, którzy znajdują się na moim pokładzie. W chwili obecnej jestem uruchomiona tylko częściowo. Dla uzyskania pełnego rozruchu proszę wcisnąć klawisz oznaczony numerem dwa.

Gregor dotknął drugiego przycisku.

Gdzieś we wnętrzu łodzi rozległ się stłumiony chrobot. Poza tym nie nastąpiło zupełnie nic.

— To dziwne — powiedział Gregor. Ponownie wcisnął klawisz i ponownie odpowiedział mu jedynie stłumiony brzęk.

— Na moje ucho to coś jakby zwarcie — postawił diagnozę Arnold. Spoglądając przez bulaj, Gregor zobaczył oddalający się z wolna brzeg wyspy. Poczuł, że oblatuje go strach — na tej planecie było tak wiele wody, a tak mało lądu. Co gorsza, żadne z urządzeń kontrolnych na płycie rozdzielczej nie przypominało w niczym koła sterowego czy rumpla, żadne nie wyglądało na sprzęgło ani na dźwignię gazu. Jak, u licha, prowadzi się „częściowo uruchomioną" łódź?

— Musi być sterowana telepatycznie — orzekł w końcu z nadzieją w głosie, po czym dodał już bardziej stanowczo:

— Powoli naprzód.

Mała łódź ruszyła przed siebie.

— Teraz trochę w prawo.

Łódź idealnie reagowała na jasne, choć niezbyt żeglarskie komendy Gregora. Wspólnicy wymienili uśmiechy.

— Wyprostuj — rozkazał Gregor — i ruszaj pełnym gazem naprzód.

Łódź pomknęła przez rozmigotane, puste morze.

Uzbrojony w latarkę i próbnik do sprawdzania obwodów, Arnold zniknął w luku prowadzącym do maszynowni łodzi. Prowadzenie badań było na tyle proste, że Gregor mógł sobie doskonale radzić w pojedynkę. Wszystkie prace wykonywały maszyny, same kreśląc mapę dna morskiego, zaznaczając na niej przebieg ważniejszych uskoków i lokalizację najbardziej obiecujących wulkanów, a także kierunki prądów morskich i pionowe ukształtowanie wypiętrzeń. Po zakończeniu prac przygotowawczych następny etap robót miał zostać zlecony podwykonawcy. To on odrutuje wulkany, obsieje uskoki, po czym, z bezpiecznej odległości, naciśnie odpowiedni guzik.

I wtedy na pewien czas Trident stanie się miejscem ogromnie hałaśliwym. A później, wraz z powrotem ciszy, planeta będzie miała już dość suchego lądu, by zadowolić nawet najwybredniejszego handlarza nieruchomościami.

Wczesnym popołudniem Gregor uznał, że jak na pierwszy dzień, wykonali już dość prac kartograficznych. Zjedli z Arnoldem kanapki i popili je wodą z manierki. Potem zażyli krótkiej kąpieli w krystalicznie czystych zielonkawych falach Tridentu.

— Chyba już wiem, w czym problem — powiedział Arnold. — Ktoś usunął doprowadzenia do głównych aktywatorów. I przeciął kabel odprowadzający energię.

— A po co miałby to robić? — zdziwił się Gregor.

Arnold wzruszył ramionami.

— Może to jeden z elementów rozbrojenia łodzi — zasugerował. — Naprawa nie zajmie mi dużo czasu. Wczołgał się z powrotem do maszynowni.

Gregor zawrócił telepatycznie łódź w kierunku wyspy, obserwując, jak jej dziób tnie raźno fale, zmieniając je w dwie wstęgi zielonkawej piany. W chwilach takich jak ta, wbrew wszystkim doświadczeniom przeszłości, wszechświat wydawał mu się miejscem pięknym i przyjaznym.

Pół godziny później Arnold wyłonił się z luku, umorusany smarem, lecz z triumfem w oczach.

— Wypróbuj ten klawisz teraz — powiedział.

— Przecież jesteśmy już prawie u brzegów wyspy.

— No to co? Nie zaszkodzi doprowadzić tę łódź do pełnej sprawności.

Gregor skinął głową i wcisnął drugi klawisz.

Usłyszeli serię delikatnych piknięć towarzyszących włączaniu się obwodów, a potem pomruk kilku podejmujących pracę urządzeń. Jakieś światło błysnęło ostrą czerwienią i mrugnąwszy kilka razy, niemal natychmiast zgasło, dając znać, że zasilanie przejęły genaratory.

— No, tak już lepiej — powiedział Arnold.

— Jestem łódź ratunkowa 342-A — oznajmiła telepatycznie łódź. — W tej chwili jestem już w pełni uruchomiona i mogę chronić tych, którzy znajdują się na moim pokładzie. Zaufajcie mi. Moje taśmy akcyjno-reakcyjne, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, zostały przygotowane przez najtęższe umysły naukowe Dromy.

— Człowiek zaraz czuje się znacznie pewniej, nie uważasz? — spytał Arnold. — Tylko co to takiego ta Droma?

— Panowie — ciągnęła łódź — spróbujcie myśleć o mnie nie jak o bezdusznej maszynie, lecz jak o swoim przyjacielu i towarzyszu broni. Wiem, co czujecie. Byliście świadkami zatonięcia własnego

statku, podziurawionego jak rzeszoto przez bezlitosnych i nieprzejednanych H'genów. Ostatkiem sił wczołgaliście się…

— Jakiego statku? — spytał Gregor. — O czym ona mówi?

— …wczołgaliście się na mój pokład, na wpół uduszeni zabójczymi oparami wody, ledwie żywi…

— Chodzi ci o tę naszą małą kąpiel? — spytał Arnold. — Wszystko ci się pomieszało. Prowadzimy tutaj prace oceanograficzne i…

— …ledwie żywi od doznanego szoku, z podupadłym morale — dokończyła łódź. — Być może jesteście trochę przestraszeni — dodała już znacznie łagodniej. — Jeśli tak, to macie do tego absolutne prawo, pozbawieni kontaktu z flotą Dromy, rzuceni na łaskę fal morza obcej planety, planety o tak surowym klimacie. Tej odrobiny strachu nie należy się wstydzić, panowie. Ale to jest wojna, a wojna to okrutna rzecz. Nie mamy po prostu innego wyjścia, jak odeprzeć barbarzyńskich H'genów i zmusić ich do powrotu na własną planetę.

— Musi być jakieś sensowne wyjaśnienie tego jej bełkotu — powiedział Gregor. — Pewnie do jej banku reakcji zaplątał się jakiś stary scenariusz telewizyjny.

— Trzeba będzie zrobić jej generalny przegląd — zdecydował Arnold. — Nie możemy całymi dniami wysłuchiwać tych bredni.

Zbliżali się do wyspy. Łódź w dalszym ciągu plotła coś o domowych ogniskach, działaniach wymijających, manewrach taktycznych i potrzebie zachowania spokoju w sytuacjach tak krytycznych jak ta. I nagle zwolniła.

— O co chodzi? — spytał Gregor.

— Przeprowadzam inwigilację wyspy — odparła łódź. Gregor i Arnold spojrzeli po sobie.

— Lepiej jej nie drażnić — szepnął Arnold, po czym głośniej już odezwał się do łodzi: — Ta wyspa jest w porządku. Sprawdziliśmy ją osobiście.

— Może i sprawdziliście — zaoponowała łódź — ale przy prowadzeniu nowoczesnych, błyskawicznych działań wojennych zmysłom Dromów nie należy dowierzać. Są zbyt niedoskonałe, zbyt skłonne do takiej interpretacji faktów, która byłaby zgodna z ich życzeniami. Natomiast zmysły elektroniczne są beznamiętne, wiecznie czujne i, w granicach określonych ich zastosowaniem, bezbłędne.

— Ale tam nic nie ma! — zawołał Gregor.

— Dostrzegam obcy statek kosmiczny — odpowiedziała łódź. — Nie ma na nim znaków rozpoznawczych Dromów.

— Nie nosi także znaków wroga — zauważył Arnold z całkowitą pewnością siebie, ponieważ osobiście malował starożytny kadłub.

— To prawda, nie nosi. Ale w czasach wojny trzeba zakładać, że co nie należy do nas, należy do wroga. Rozumiem wasze pragnienie

znalezienia się znów na stałym lądzie. Ale ja biorę pod uwagę czynniki, które ulegający emocjom Drom mógłby przeoczyć. Rozważam tę pozorną pustkę tak strategicznego kawałka lądu; obecność nie oznakowanego statku kosmicznego jakże kusząco wystawionego na przynętę; fakt, iż nasza flota nie operuje już w tych rejonach; to, że…

— W porządku, wystarczy. — Gregor miał już absolutnie dość tej dyskusji z wygadaną i egoistyczną maszyną. — Płyń prosto do wyspy. To rozkaz.

— Nie mogę wypełnić tego rozkazu — odparła łódź. — Umknięcie śmierci ledwie o włos wytrąciło was poważnie z równowagi…

Arnold sięgnął ręką do wyłącznika i natychmiast ją cofnął, wydając okrzyk bólu.

— Bądźcież, panowie, rozsądni — powiedziała łódź dość surowo. — Tylko wyższy rangą oficer z uprawnieniami do rozbrajania może mnie wyłączyć. Dla waszego dobra muszę was ostrzec, byście nie dotykali żadnego z moich urządzeń kontrolnych. Jesteście niezrównoważeni. Nieco później, kiedy znajdziemy się w bezpieczniejszej sytuacji, poddam was odpowiedniej kuracji. Na razie wszystkie swoje siły muszę poświęcić na wykrycie i uniknięcie wroga.

Nabrała gwałtownie szybkości i oddaliła się od wyspy, klucząc w niezwykle zawiły sposób.

— Dokąd płyniemy?– spytał Gregor.

— Połączyć się z flotą Dromy! — zawołała łódź z taką pewnością siebie w głosie, że wspólnicy rozejrzeli się nerwowo po bezkresnych, absolutnie pustych wodach Tridentu.

— To znaczy, jak tylko ją odszukam — poprawiła się łódź.

Była już późna noc. Gregor i Arnold siedzieli obok siebie w kącie kajuty i łapczywie jedli ostatnią kanapkę. Łódź w dalszym ciągu wściekle pruła fale, wytężając maksymalnie wszystkie swoje elektroniczne zmysły w poszukiwaniu floty, która pływała pięć wieków wcześniej na zupełnie innej planecie.

— Słyszałeś kiedyś o tych Dromach? — spytał Gregor. Arnold przeszukiwał w pamięci swój pokaźny zasób wiedzy o mało istotnych wydarzeniach historycznych.

— Dromowie to istoty niehumanoidalne, produkt ewolucji jaszczurów — stwierdził. — Zamieszkiwały szóstą planetę pewnego niewielkiego układu w pobliżu Capelli. Cała rasa wymarła ponad sto lat temu.

— A ci H'genowie?

— Też jaszczury; ta sama historia — mruknął Arnold znajdując jakiś okruszek i wkładając go sobie do ust. — To nie była żadna

znacząca wojna; wszyscy jej uczestnicy już dawno przestali istnieć. Najwyraźniej z wyjątkiem tej łodzi.

— No i nas — przypomniał mu Gregor. — Zostaliśmy wcieleni do armii Dromy. — Westchnął ze znużeniem. Czy myślisz, że uda nam się to tej balii wyperswadować? Arnold pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Nie bardzo widzę jak. Z punktu widzenia tej łodzi wojna trwa nadal. Wszystkie fakty interpretuje wyłącznie na podstawie tej przesłanki.

— Pewnie podsłuchuje nas nawet w tej chwili — powiedział Gregor.

— Nie przypuszczam. Ona chyba nie potrafi czytać wszystkich myśli. Centra percepcji musi mieć wyczulone wyłącznie na te skierowane bezpośrednio do niej.

— Miałeś pan rację, Joe — powiedział Gregor cierpko — dziś już się takich nie buduje. — Żałował, że nie może dostać w swoje ręce międzygwiezdnego handlarza starzyzną.

— Prawdę mówiąc, to bardzo interesująca sytuacja — podjął po chwili Arnold. — Może nawet napiszę o tym do „Cybernetyki dla Wszystkich". Oto mamy maszynę wyposażoną w niemal niezawodny system percepcji bodźców zewnętrznych. Odbierane przez nią impulsy są natychmiast logicznie przetwarzane w odpowiednie reakcje. Jedyny problem w tym, że zastosowana tu logika opiera się na nie istniejących już założeniach. Toteż można byłoby właściwie powiedzieć, że maszyna ta padła ofiarą usystematyzowanego układu złudzeń.

Gregor ziewnął.

— Chcesz powiedzieć, że ta łajba jest po prostu stuknięta — rzekł Gregor bez ogródek.

— Totalnie. Mam wrażenie, że paranoja byłaby odpowiednim rozpoznaniem. Ale już wkrótce będzie po wszystkim.

— Skąd masz tę pewność?

— To zupełnie jasne — odparł Arnold. — Imperatywem tej łodzi jest utrzymanie nas przy życiu. Zatem musi nas karmić. Po kanapkach nie ma już nawet śladu, a jedyne zapasy pożywienia znajdują się na wyspie. Wnioskuję stąd, że będzie musiała zaryzykować i popłynąć z powrotem.

Kilka minut później poczuli, że łódź nabiera lekkiego przechyłu i zmienia kierunek.

— Ale tam nic nie ma! — zawołał Gregor.

— W tej chwili nie mogę zlokalizować floty Dromy — odebrali jej telepatyczny przekaz. — Dlatego też zawracam, by przeprowadzić szczegółową inwigilację wyspy. Na szczęście w bezpośrednim sąsiedztwie nie ma także wrogów. Mogę więc już z całą mocą mojej

pełnej uwagi poświęcić się opiece nad wami.

— Widzisz? — mruknął Arnold, trącając łokciem Gregora. — Dokładnie jak przewidywałem. Teraz trzeba tylko utwierdzić ją w przekonaniu, że dobrze robi. W samą porę sobie o nas przypomniałaś — powiedział do łodzi. Jesteśmy głodni.

— Właśnie, może byś nas nakarmiła — zażądał Gregor. — Już się robi — nadała łódź i w tej samej chwili ze ściany wysunęła się jakaś taca. Znajdowała się na niej jakaś ciastowata bryła czegoś, co wizualnie przypominało glinę, lecz śmierdziało jak olej maszynowy.

— Co to ma być? — spytał Gregor.

— To jest pryka — odparła łódź. — Podstawowe pożywienie wszystkich Dromów. Potrafię ją przyrządzić na szesnaście różnych sposobów.

Gregor ostrożnie skosztował ciemnej mazi. Smakowała dokładnie jak glina zmieszana pół na pół z olejem maszynowym.

— Tego nie da się jeść! — zaprotestował.

— Oczywiście, że się da — powiedziała łódź tonem łagodnej perswazji. — Dorosły Drom spożywa pięć i trzy dziesiąte funta pryki dziennie i woła o jeszcze.

Taca przesunęła się w ich kierunku. Gregor i Arnold cofnęli się o krok.

— Chwileczkę — powiedział Arnold. — Posłuchaj. My nie jesteśmy Dromami. Masz przed sobą ludzi, przedstawicieli zupełnie innego gatunku. Wojna, w której wydaje ci się, że bierzesz udział, zakończyła się pięćset lat temu. My nie możemy jeść pryki. Nasza żywność znajduje się na wyspie.

— Panowie, spróbujcie zrozumieć sytuację. Złudzenie, któremu ulegacie, jest u żołnierzy czymś zupełnie powszechnym. To zwykły przypadek ucieczki w krainę wyobraźni, uchylenia się od percepcji sytuacji, której nie można znieść. Panowie, błagam was na wszystko — spójrzcie w oczy rzeczywistości!

— To ty spójrz w oczy rzeczywistości! — zawołał Gregor. — Albo każę cię rozebrać na śrubki i trzpienie!

— Groźby nie mogą mnie wytrącić z równowagi — nadała pogodnie łódź. — Wiem, przez co przeszliście. Istnieje nawet możliwość, że kontakt z trującymi wyziewami wody spowodował u was trwałe uszkodzenie mózgu.

— Trującymi… — szepnął Gregor, czując, że coś go chwyta za gardło.

— Według kryteriów Dromów — przypomniał mu Arnold.

— Jeśli okaże się to absolutnie nieodzowne — ciągnęła łódź — to mam pełne wyposażenie do przeprowadzenia chirurgicznej operacji mózgu. To środek bardzo drastyczny, ale w czasach wojny nie można się zbytnio pieścić.

W tym momencie odskoczyła jakaś klapa i oczom wspólników ukazał się rząd połyskujących ostrzy chirurgicznych.

— Czujemy się już znacznie lepiej — powiedział pośpiesznie Gregor. — Ta partia pryki wygląda rzeczywiście wspaniale, nie uważasz, Arnold?

— Bardzo smakowicie — powiedział Arnold, krzywiąc się niemiłosiernie.

— Swego czasu wygrałam ogólnoplanetarny konkurs kulinarny — wyznała telepatycznie łódź ze zrozumiałą dumą. — Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłabym dla naszych chłopców w mundurach. Bardzo proszę, próbujcie.

Gregor wziął z tacy garść pryki, rozsmarował sobie trochę na wargach i dyskretnie upuścił resztę na podłogę. — Pycha — powiedział, mając nadzieję, że wewnętrzne czujniki łodzi są nieco mniej sprawne niż jej sensory zewnętrzne.

Najwyraźniej były.

— To świetnie — powiedziała łódź. — Kieruję się w tej chwili na wyspę. Aha, obiecuję wam także, że już za chwilę warunki staną się dla was znacznie bardziej znośne.

— Jakie warunki? — spytał Arnold.

— Panująca tu temperatura jest zabójczo wysoka. Zdumiewa mnie, że do tej pory nie zapadliście w letarg. Każdy inny Drom już by to zrobił. Wytrzymajcie proszę jeszcze chwilę. Już wkrótce obniżę ją do normalnych dla Dromy dwudziestu stopni poniżej zera. A teraz, dla podtrzymania waszego morale, zagram wam nasz hymn narodowy.

Powietrze wypełnił upiorny, miarowy skrzek. Z zewnątrz dobiegał stłumiony plusk fal, bijących o kadłub rozpędzonej łodzi. Już w kilka chwil później w kajucie zrobiło się wyraźnie zimniej.

Gregor zamknął ze znużenia oczy, próbując ignorować chłód pełznący wzdłuż rąk i nóg. Zaczynał być śpiący. Takie już moje szczęście, pomyślał, że dam się zamrozić na śmierć wewnątrz jakiejś chorej umysłowo łodzi. Oto skutki kupowania paternalistycznych gadgetów, przeczulonych, humanistycznych kalkulatorów, przewrażliwionych, emocjonalnych maszyn.

Zapadając w półsen zaczął się zastanawiać, do czego to wszystko doprowadzi. Przed oczyma stanął mu ogromny szpital dla maszyn. Dwóch robotów-lekarzy pchało długim, białym korytarzem leżącą na łóżku kosiarkę. Naczelny robot-lekarz spytał:

— Cóż to dolega temu chłopcu?

— Zupełnie zbzikował — odparł asystent. — Myśli, że jest śmigłowcem.

— Aha! — powiedział naczelny uczenie. — Deluzja psychomotoryczna! Szkoda. Taki sympatyczny facet.

Asystent skinął głową.

— To wszystko z przepracowania — stwierdził stanowczo. — Serce mu pękło na kępie sitowia.

Kosiarka poruszyła się niespokojnie.

— A teraz jestem trzepaczką do jajek! — zachichotała. — Trach, trach, trach!

— Obudź się — powtórzył Arnold, szczękając zębami, i jeszcze raz potrząsnął Gregorem. — Musimy coś zrobić.

— Poproś ją, żeby włączyła ogrzewanie — zaproponował Gregor słabo.

— Nie da rady. Dromowie żyją w temperaturze minus dwadzieścia; my jesteśmy Dromami; minus dwadzieścia jest dla nas w sam raz i nie ma co pyskować.

Biegnące w poprzek całej łodzi przewody aparatury chłodzącej pokryła gruba warstwa szronu. Ściany zaczynały robić się białe, a na szyby iluminatora wypełzł mróz.

— Mam pewien pomysł — odezwał się ostrożnie Arnold. Rzucił okiem na tablicę kontrolną, po czym szepnął coś Gregorowi do ucha.

— Możemy spróbować — odparł Gregor. Podniósł z podłogi manierkę z wodą, po czym obaj wspólnicy wstali i odeszli w najdalszy kąt kajuty.

— Co tam robicie? — spytała ostro łódź.

— Mamy zamiar trochę poćwiczyć — wyjaśnił Gregor. — Żołnierze Dromy muszą dbać o zachowanie sprawności fizycznej, sama o tym wiesz.

— To prawda — potwierdziła niepewnie łódź. Gregor rzucił manierkę do Arnolda.

Arnold zachichotał i odrzucił manierkę Gregorowi.

— Tylko ostrożnie z tym pojemnikiem — ostrzegła łódź. — Jest napełniony śmiertelną trucizną.

— Będziemy uważać — odparł Gregor. — Zabieramy ją ze sobą do kwatery głównej. — Rzucił manierkę do Arnolda.

— Dowództwo naczelne może kazać ją rozpylić nad armią H'genów — dodał Arnold.

— Naprawdę? — zaciekawiła się łódź. — To interesujące. Nowe zastosowanie tej…

Nagle Gregor rzucił manierkę w przewody chłodzące. Rura pękła i wypełniająca ją ciecz zaczęła spływać na podłogę.

— Fatalny rzut, staruszku — powiedział Arnold.

— Ależ ze mnie niezdara! — zawołał Gregor.

— Powinnam była podjąć środki zabezpieczające przed wypadkami na pokładzie — nadała łódź posępnie. To już się nie powtórzy. Ale sytuacja jest bardzo poważna. Nie jestem w stanie własnymi siłami naprawić tych przewodów. Nie jestem w stanie odpowiednio chłodzić kabiny.

— Gdybyś wysadziła nas na brzegu wyspy — zaczął Arnold — tylko na chwilkę…

— To wykluczone! — zawołała łódź. — Moim podstawowym zadaniem jest utrzymanie was przy życiu, a w klimacie tej planety zginęlibyście prawie natychmiast. Dlatego też będę musiała podjąć odpowiednie środki dla zapewnienia wam bezpieczeństwa.

— Co masz zamiar zrobić? — spytał Gregor, czując, że żołądek kurczy mu się ze strachu.

— Nie mam ani chwili do stracenia. Zbadam jeszcze raz całą wyspę. Jeśli nie wykryję na niej żadnych śladów naszych wojsk, popłyniemy do jedynego miejsca na tej planecie, gdzie panują warunki odpowiednie do utrzymania przy życiu Dromów.

— To znaczy, gdzie?!

— W okolice południowej czapy polarnej — odparła łódź. — Tamtejsza temperatura jest niemal idealna. Szacuję, że jakieś trzydzieści stopni poniżej zera.

Silniki ryknęły na podwójnych obrotach, a łódź dodała tonem usprawiedliwienia:

— I oczywiście muszę się zabezpieczyć przed dalszymi wypadkami na moim pokładzie.

Kiedy ruszyła pełną szybkością w kierunku wyspy, usłyszeli ciche szczęknięcie zamków, odcinających im drogę wyjścia z kabiny.

— Myśl! — ponaglił Arnold.

— Nic innego nie robię — warknął Gregor. — Tyle że nic mi z tego nie wychodzi.

— Musimy się z niej wydostać, kiedy podpłynie do wyspy. To będzie nasza ostatnia szansa.

— Może udałoby nam się jakoś wyskoczyć za burtę? — zasugerował Gregor.

— Mowy nie ma. Nie spuszcza nas już z oka. Gdybyś nie rozwalił tej rury chłodzącej, pewnie mielibyśmy jeszcze jakąś szansę.

— Tak, wiem — mruknął Gregor cierpko. — Ty i te twoje pomysły!

— Moje pomysły! Dokładnie przypominam sobie, że to była twoja propozycja. Powiedziałeś…

— Mniejsza o to, czyj to był pomysł — przerwał mu ugodowo Gregor, pogrążając się w rozmyślaniach. — Słuchaj, wiemy już, że jej czujniki wewnętrzne nie są najlepsze. Może udałoby się jakoś przeciąć kabel energetyczny, kiedy znajdziemy się koło wyspy.

— Nie da ci podejść do niego bliżej niż na kilka stóp — odparł Arnold, ciągle jeszcze mając świeżo w pamięci kopnięcie prądem, jakim potraktowała go łódź, kiedy próbował ją wyłączyć.

— Hmmm… — mruknął Gregor, ściskając z całej siły obiema

rękami czoło. Gdzieś w zakamarkach mózgu zaczynał mu kiełkować pewien pomysł. Był jeszcze dość nie sprecyzowany, ale biorąc pod uwagę okoliczności…

— Dokonuję teraz szczegółowego badania wyspy — oznajmiła łódź.

Wyglądając przez bulaj, Gregor i Arnold ujrzeli brzeg wyspy oddalony od nich o mniej więcej sto jardów. Na niebie nad horyzontem kładła się pierwsza poświata nadchodzącego świtu, a od jej tła wyraźnie odcinało się pokryte bliznami, ukochane dziobisko ich statku.

— Mnie ta wyspa wydaje się zupełnie w porządku — powiedział Arnold.

— Mnie też — poparł go Gregor. — Założę się, że nasze oddziały okopały się pod ziemią.

— Niestety nie — nadała ze smutkiem łódź. — Zbadałam całą powierzchnię do głębokości stu stóp.

— No cóż — powiedział Arnold — w tych okolicznościach powinniśmy chyba sprawdzić to nieco dokładniej. Najlepiej będzie, jeśli sam zejdę na brzeg i trochę się rozejrzę.

— Wyspa jest opuszczona — oznajmiła stanowczo łódź. — Naprawdę możecie mi wierzyć, że moje zmysły są nieskończenie bardziej wyczulone niż wasze. Nie mogę dopuścić, byście narażali życie, schodząc na brzeg. Droma potrzebuje swoich żołnierzy, zwłaszcza takich jak wy, odpornych na upał śmiałków.

— Nam ten klimat bardzo odpowiada — powiedział Arnold.

— Oto słowa godne patrioty! — nadała łódź serdecznie. — Wiem, jak bardzo musicie cierpieć. Ale już ruszam na biegun południowy, a tam znajdziecie wreszcie, dzielni weterani, tak bardzo zasłużony odpoczynek.

Gregor uznał, że najwyższy czas wprowadzić w życie własny plan, choćby był nie wiadomo jak nie sprecyzowany.

— To nie będzie potrzebne — powiedział.

— Co?

— Działamy zgodnie z rozkazem specjalnym — wyjaśnił. — Otrzymaliśmy polecenie nie ujawniać tego żadnej jednostce pływającej poniżej rangi pancernika. Ale w tych okolicznościach…

— Właśnie — zawtórował mu skwapliwie Arnold — W tych okolicznościach będziemy musieli cię z nim zapoznać.

— Jesteśmy żołnierzami jednostki samobójczej — powiedział Gregor.

— Szkolonymi specjalnie do zadań w gorącym klimacie. — Mamy rozkaz wylądowania na tej wyspie i zabezpieczenia jej dla wojsk Dromy.

— Nic o tym nie wiedziałam — odparła łódź.

— Bo nie widzieliśmy potrzeby, żeby ci o tym mówić — wyjaśnił Gregor. — W końcu jesteś tylko łodzią ratunkową.

— Natychmiast wysadź nas na brzeg — rozkazał Gregor. — Nasza misja to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

— Trzeba mi było powiedzieć o tym wcześniej — powiedziała łódź. — Chyba rozumiecie, że sama nie mogłam się tego domyślić.

Zaczęła z wolna zbliżać się do wyspy.

Gregor wstrzymał oddech. Nie mógł wprost uwierzyć, by taki prosty podstęp mógł się udać. Choć z drugiej strony, dlaczego nie? Łódź zbudowano tak, by przyjmowała każde słowo tych, którzy nią kierują, za prawdę. Jeżeli tylko owa „prawda" była spójna logicznie z założeniami funkcjonalnymi łodzi, powinna ją ona przyjąć i wykonać.

Plaża znajdowała się teraz już tylko o pięćdziesiąt jardów, jaśniejąc w zimnym świetle poranka wstęgą bieli.

I nagle wrzuciła całą wstecz i zatrzymała się.

— Nie — powiedziała.

— Co nie?

— Nie mogę tego zrobić.

— Jak to nie możesz! — ryknął Arnold. — To jest wojna! Nasze rozkazy…

— Wiem — przerwała mu łódź smutno. — I jest mi bardzo przykro. Ale przecież do wykonania takiej misji wybrano by jednostkę pływającą jakiegoś innego typu. Jakiegokolwiek innego typu. Lecz nie łódź ratunkową.

— Musisz to zrobić — jęknął błagalnie Gregor. Pomyśl o naszej ojczyźnie, pomyśl o barbarzyńskich H'genach…

— Wykonanie przeze mnie tego rozkazu jest czystą niemożliwością — wyjaśniła łódź. — Podstawowym nakazem mego działania jest zabezpieczenie korzystających ze mnie osób przed wszelkim niebezpieczeństwem. Ten imperatyw zapisano na każdej z moich taśm, dając mu bezwzględne pierwszeństwo przed wszystkimi innymi nakazami. Nie mogę pozwolić, byście wyruszyli na pewną śmierć.

Łódź zaczęła oddalać się od wyspy.

— Za ten brak subordynacji czeka cię sąd wojskowy! — wrzasnął histerycznie Arnold. — Zostaniesz całkowicie rozbrojona.

— Muszę działać w wyznaczonych mi granicach — odparła smutno łódź. — Jeśli znajdziemy flotę, przekażę was niszczycielowi. Lecz tymczasem muszę umieścić was w jedynym miejscu, gdzie nic wam nie grozi — na biegunie południowym.

Nabrała szybkości, zostawiając wyspę powoli w tyle. Arnold rzucił się do tablicy kontrolnej i w tej samej chwili znalazł się, mocno oszołomiony, na pokładzie. Gregor chwycił manierkę i zamierzył się,

by cisnąć nią daremnym gestem w zaryglowaną pokrywę luku. W połowie zamachu zamarł w bezruchu, porażony pewną szaleńczą myślą.

— Proszę was bardzo, nie próbujcie dokonywać żadnych dalszych zniszczeń — nadała błagalnie łódź. — Wiem, co czujecie, ale…

Pomysł jest cholernie ryzykowny, uznał Gregor, ale przecież biegun południowy to i tak pewna śmierć. Odkręcił manierkę.

— Jeśli nie wykonamy swojej misji — powiedział — to jakże moglibyśmy spojrzeć w twarz naszym towarzyszom broni? Jedyne, co nam pozostało, to samobójstwo. — Wypił trochę wody i podał manierkę Arnoldowi, wciąż jeszcze leżącemu w oszołomieniu na podłodze.

— Nie! Nie róbcie tego! — krzyknęła przeraźliwie łódź. — To jest woda!!! To śmiertelna trucizna…

Z tablicy wystrzelił strumień energii i uderzył w manierkę, wytrącając ją Arnoldowi z rąk.

Arnold chwycił ją w powietrzu i nim łódź zdążyła zareagować ponownie, pociągnął z niej spory łyk.

— Umieram ku chwale Dromy! — zawołał Gregor, osuwając się na podłogę. Dyskretnym ruchem nakazał Arnoldowi, by się nie ruszał.

— Antidotum na tę truciznę nie jest znane! — jęknęła łódź. — Och, gdybym tylko skontaktowała się ze statkiem szpitalnym… — Zabrzęczała niezdecydowanie silnikami na jałowym biegu. — Odezwijcie się! — nadała błagalnie. Powiedzcie do mnie choć słowo! Żyjecie jeszcze?

Gregor i Arnold leżeli w absolutnym bezruchu, wstrzymując oddech.

— Odpowiedzcie! Może gdybyście zjedli trochę pryki…

Podsunęła im pod nos dwie tace. Wspólnicy ani drgnęli.

— Nie żyją — orzekła łódź. — Nie żyją. Odprawię uroczystość pogrzebową.

Na chwilę zaległa zupełna cisza. A potem łódź zaintonowała:

— Wielki Duchu Wszechświata, przyjmij pod swą opiekę dusze tych Twoich dwóch sług. Choć zadali sobie śmierć własnymi rękami, uczynili to służąc naszej ojczyźnie, walcząc o domowe ognisko. Nie sądź surowo ich bezbożnego czynu, lecz winą obarcz raczej ducha wojny, który rozpala i niszczy wszystkich Dromów.

Pokrywa luku odskoczyła na całą szerokość. Gregor poczuł na twarzy powiew chłodnej bryzy.

— A teraz na mocy uprawnień przyznanych mi przez flotę Dromów i z pełnym nabożeństwem powierzam ich ciała głębinom.

Gregor poczuł, że zostaje wyniesiony przez luk i złożony na pokładzie. Chwilę później znów uniósł się w powietrze, po czym zaczął spadać i w następnym momencie znalazł się w wodzie, tuż obok

Arnolda.

— Unoś się bez ruchu — szepnął.

Wyspa znajdowała się zupełnie niedaleko. Ale łódź w dalszym ciągu krążyła wokół nich, porykując nerwowo silnikami.

— Jak myślisz, co ta łajba kombinuje? — spytał szeptem Arnold.

— Pojęcia nie mam — odparł Gregor, mając nadzieję, że Dromowie nie praktykowali obracania ciał swoich zmarłych w proch.

Łódź podpłynęła bliżej. Jej dziób znajdował się już tylko o kilka stóp. Wspólnicy zamarli w napięciu. I wtedy to usłyszeli — upiorny skrzek hymnu narodowego Dromów. Chwilę później było już po wszystkim.

— Spoczywajcie w pokoju — powiedziała łódź, po czym zawróciła i z rykiem silników pomknęła w dal.

Kiedy wreszcie odważyli się popłynąć do brzegu, Gregor zobaczył, że łódź ratunkowa kieruje się na południe, ku biegunowi, by tam oczekiwać na przybycie floty Dromy.